

– Może mnie pan jednak zechce wysłuchać... Nie będę zabierał dużo czasu...

– No, to mówże pan, o co panu chodzi, tylko prędko...

– O!óż uważa pan sekretarz, ja chciałbym dla Centrali dostawiać drzewo... Jestem biedny człowiek, obarczony rodziną... Chcę coś zarobić, byle wyżyć...

Łuniewski mimowolnie spojrzał na jego tłuste oblicze, nie zdradzające bynajmniej biedy ani kłopotów.

– A to dostawiaj pan sobie... Cóż mnie to szkodzi?...

– Podałę ofertę...

– To dobrze.

– Ale... mi ją odrzucili...

– Widocznie musieli mieć powody.

– Żadnych, panie sekretarzu, żadnych... Ktoś tam musiał mi być nieżyczliwy i wmówił, że to za drogo... Ale ja taniej nie mogę, doprawdy, nie mogę.

– Nic na to panu nie poradzę.

– O! Pan sekretarz mógłby mi pomóc i to wiele, bardzo wiele – podchwycił żywo jego mość. – Gdyby pan sekretarz zechciał przejrzeć.

– Mój panie, niech pan przyjdzie do biura w godzinach urzędowych!

– Kiedy ja wołałbym prywatnie... ja gotów jestem okazać moją wdzięczność... Ja znam się na grzeczności...

– Co?! Co to ma znaczyć!

Oczy Łuniewskiego tak błysnęły, że tłusty jego mość odsunął się przezornie z krzesłem.

– Nic, panie sekretarzu, nic... Ja tylko chciałem...

– Już wiem, czegoś pan chciał i mówię panu, zabieraj się pan, pókim dobry!... Płacić!... – krzyknął Łuniewski na kelnerkę.

Zirykowany wybiegł z restauracji i chwilę stał na chodniku, niepewny dokąd ma iść.

Czy do domu?... Bał się samotności, ciszy i własnych myśli.

Może do Żarnickich? Nie! Rozmowa z panią Żarnicką i Lolią nie nęciła go wcale, mogła się nawet stać nieznośną męczarnią...

Pójdę pod dom... Może ją zobaczę w oknie...

Na ulicach zapalono już naftowe latarnie, które mdłym światłem wskazywały przechodniom drogę.

Do rynku nie było daleko... W przeciągu kilku minut Łuniewski znalazł się przed kamienicą Żarnickiej i spoglądał w otwarte okno, o którym wiedział, że jest oknem pokoju Józki.

W pokoju migotało słabe światło świecy... Przy oknie nie było nikogo...

– Nie spi jeszcze... Oczywiście... zawczęśnie... Co robi... Czyta pewnie... a może marzy... O czym?... O kim?... Czy o mężu?!

Zgrzytnął zębami.

Nagle drgnął i wyteżył wzrok. Biała postać, obrzucona ciemnymi włosami, podeszła do okna i zapuściła storę.

Nie spojrzała w dół, nie zauważyła stojącego na ulicy mężczyzny.

Zato spostrzegła go służąca, zajęta rozmową przed bramą.

Jedna z nich zachichotała z cicha.

– Widzi panna Magdzia, jak to łeb zadziera do góry... Musieli się umówić... Niechno stara zobaczy, to da im „fensterpromenadę“!...

– Gadajże panna Joasia ciszej, bo usłyszy...

– O! wal... Dużo się go boję!... Niech się oni boją...

– Zawsze, poco takiego pana „zaczipiać“...

– On i tak nie słyszy... Żeby mu teraz gorącym kłajstrem gębę zakłajstrować, toby się może nie opatrzył...

Rzeczywiście Łuniewski nie słyszał z tej rozmowy ani słowa. Długą chwilę jeszcze nie odrywał wzroku od zasłoniętego okna.

Wreszcie powoli, jakby się przezwyciężając, zawrócił...

Skierował się w małą boczną uliczkę, gdzie znajdował się pewien brudny, zakopcony, ostatniórzedny szynk.

Tam był pewien, że nie spotka nikogo ze znajomych.

Wszedł, kazał sobie podać karafkę wódki i zaczął pić na umór.

– Ten pan Łuniewski, co to jest kolega pana Koszczyca, to musiał mieć do niego jakiś interes – rzekła Joasia, podając Loli nocne pantofle i białe, batystowy kaftanik.

Błade wargi anemicznej panienki zdrząły lekko.

– Skądże wiesz?... – zapytała.

– A bo stał dobrą chwilę przed naszym domem.

Lola wiedziała, że nie powinna wdawać się ze służącą w rozmowę na ten temat, ale pokusa była zbyt silna.

Przez chwilę wyjmowała w milczeniu szpilki z włosów. Szło jej to trochę niezgrabnie, bo jej ręce jakoś drżały.

– Kiedy? – rzuciła pytanie takim głosem, jakby jej nagle zabrakło tchu.

Joasia schyliła się po porzucone na ziemi pończochy.

– A to będzie tak koło wpół do ósmej... Dziwno mi było trochę, że nie poszedł na górę, ale nie śmiałam mu mówić... Może myślał, że państwa nie ma w domu, bo się patrzył w okno.

– W okno?... – wykrztusiła z trudem Lola, starając się zachować pozorny spokój.

– A tak... W okno młodszej pani... Pewnie mu się pomyliło, że to okno ze salonu albo z jadalni...

Joasia zawieszała teraz suknię panienki, obrócona do Loli plecami.

Panna Żarnicka nie mogła więc dostrzedz złośliwego uśmiechu na twarzy dziewczyny.

Nagle guziczek przy kaftaniku Loli, szarpnięty zbyt silnie, prysnął i potoczył się na ziemię.

– Idź już Joasiu... Dam sobie sama radę...

– Zaraz, tylko poprawię poduszki...

– Nie trzeba. Idź.

– Całuję rączki. Dobranoc.

– Dobranoc.

Cicho zamknęły się drzwi za Joasią.

Lola stała na środku pokoju ze spuszczoneym na plecy swoim cienkim warkoczem. Ręce miała zaciśnięte kurczowo. Paznokcie własne wpiła sobie w ciało do żywego mięsa. Ramiona drgały jej nerwowo pod białą batystą.

Myśli szumiały jej w mózgu.

– To było umówione... Podła, bezwstydną... I on... Aaa!...

Ogarnęło ją szalone podejrzenie.

– Może jej niema w domu, może wykradła się z nim na schadzkę!...

Rzuciła się ku drzwiom, by pobiedz do sypialni bratowej.

– Muszę przecież wiedzieć!... Toż to żona mojego brata!... Nie mogę pozwolić, żeby ona pod naszym dachem...

Bez tchu prawie dobiegła do drzwi pokoju Józki i zapukała silnie.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał.

Loli ślina wyschła w ustach. Zdało się jej, że jej serce zamiera w piersi.

Gwałtownie szarpnęła klamką, ale drzwi były na klucz zamknięte.

– Józku! – krzyknęła Lola, niepomna, że może zaalarmować matkę i służbę.

– Kto tam?! – dał się słyszeć wystraszony głos.

Bose stopy plusnęły po podłodze. Klucz obrócił się w zamku.

Przed Loli ukazała się Józka bosa – w koszuli tylko – z palącą się świecą w ręku.

Młoda kobieta przecierała powieki ciężkie od przerwane go nagle snu i widocznie nie mogła się od razu zorientować, co się to dzieje.

– Kto tam? – powtórzyła. – A to ty Lolu... Czego chcesz?...

Lola drapieżnym, rozplamionym wzrokiem wpatrywała się w piękną twarz bratowej.

– Nic! – powiedziała wreszcie.

Józka oprzytomniała już zupełnie i spojrzała zdziwiona.

– Jakiś nic? Więc dlaczego mnie budzisz?...

– Chciałam wiedzieć, czy śpisz – rzekła krótko szwagierka, nie wdając się w żadne, dalsze objaśnienia, odwróciła się i odeszła.

Józka pozostała w zdumieniu.

Długą chwilę jeszcze nie ruszała się z progu, spoglądając w ciemną amfiladę pokoiów, w której zniknęła Lola.

– Czego ona chciała odemnie?... Mieszka się jej w głowie czy co? A czy miała, że można się było przestraszyć...

Józka pokręciła głową i nic nie rozumiejąc, powróciła do łóżka.

Długo jednakże nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok i usiłowała odgadnąć, czego chciała Lola i dlaczego miała takie straszne oczy.

– Dzień dobry! Jakże się droga, kochana pani miewa?... Jakże zdrowie?... A panna Lola?...

– Dziękuję. No, nareszcie pani do nas zaj-

rzała – mówiła pani Żarnicka, ściskając ręce pani Kożuchowskiej i prowadząc ją do salonu.

Pani Kożuchowska zasiadła wygodnie w fotelu i rzuciła wokół kilka szybkich, ukradkowych spojrzeń.

W jednej chwili skonstatowała, że róg wielkiego dywanu jest nieco rozdarty, liście rozłożystej palmy mają żółte brzeżki i są przyprószone pyłem, a z fortepianu w jednym miejscu starła się odrobina polityury.

Te niedomogi, świadczące o niedość staranem sprzątaniu, napełniły zadowoleniem matkę panny Mici. Zadowolenie zmniejszyło się wszakże na widok nowiutkiej pięknej konsoli z lustrem, a zgasło prawie zupełnie przy bliższej obserwacji niezwykle eleganckiej sukni domowej pani domu.

– Jedwabna etamina i prawdziwe koronki – zawrzało w pani Kożuchowskiej złością. – Podczas wojny takie zbyt!... To coś okropnego!...

Pełne żalu spojrzenie przesunęła po własnej „paradnej“ sukni, pamiętającej jeszcze pierwszy rok wojny.

Nie mogła sobie pozwolić na nową – teraz, kiedy metr byle jakiej materyi kosztuje kilkadziesiąt koron!... Niestety nie ma kamienicy w rynku i kapitałów w banku!...

Pani Żarnicka nawzajem obserwowała swego gościa. Uczuła lekki niepokój, widząc, że oczy pani Kożuchowskiej błyszczą mocno, jak zwykle, gdy ma do opowiedzenia coś „bardzo ciekawego“ i równie bardzo złośliwego.

– Ona tu nie bez kozery przysła... – przemknęło gospodyni przez myśl. – Ma napewno jakieś szpilki przygotowane... Wysypie worek plotek...

– Dlaczegoż pani Mici nie przyprowadziła ze sobą? – zapytała pani Żarnicka.

– Dziecko potrzebuje powietrza... Poszła się przejść trochę do parku...

– Na taki upał?... I sama?... – zauważyła pani Żarnicka z niewinną miną. – Musi być rzeczywiście bardzo spragniona powietrza...

Pani Kożuchowska nie pozwoliła się stropić.

– Towarzyszy jej pan Potyrowski... To taki przyzwoity, godny człowiek, że można mu powierzyć opiekę nad młodą panienką...

– A, pan Potyrowski...

– Ogromnie, ogromnie zacny i rozsądny człowiek – zapewniała gorąco pani Kożuchowska. – Ale panie tak się jakoś teraz mało pokazują, że doprawdy zaczynałam się obawiać czy pani zdrowa... Lub czy może Lulusia...

Pani domu uśmiechnęła się lekko.

– Zbyt gorąco teraz na spaceru po łykowskim parku... Przygotowujemy się zresztą do wyjazdu...

– Panie wyjeżdżają?...

– Tak... Mniej więcej w połowie lipca – do Krynicy...

Ten wyjazd do Krynicy zakłócił panią Kożuchowską w samo serce. Wiedziała o sobie, że przez całe lato nie ruszy się z Łykowa i właściwie nie zależało jej na wyjeździe. Ale żeby ta miała imponować swoją Krynica!...

– No tak, Lulusia potrzebuje krynickich kąpiel koniecznie... Ona biedactwo taka wątła, taka anemiczna...

– Lola jest zupełnie zdrowa... A że ma trochę blednicy, to naturalne w jej tak młodym wieku, po przemęczeniu się przygotowaniami do matury.

Zarówno przypomnienie o młodym wieku Loli, jak wzmiankę o maturze odczuła pani Kożuchowska jako osobistą obrazę. Boć pełnoletnia panna Micia nie zdołała ukończyć nawet szkoły wydziałowej w Łykowie.

Pani Kożuchowska nie okazała jednakowoż nic po sobie i tylko rzuciła pytanie:

– Czy pan Koszczyk także pojedzie do Krynicy?...

– Nie wiem. Jeżeli pani ciekawa, niech go pani o to zapyta. Zapewno niedługo tutaj będzie.

– A tak, bo on u państwa bywa codziennie...

– Prawie codziennie... – odpowiedziała pani Żarnicka z tak lodowatym chłodem i z tak wyniosłym spojrzeniem, że Kożuchowskiej odeszła ochota do dalszej rozmowy o Koszczyku.

– A pani Konradowa oczywiście pojedzie z panią? – podjęła spieszenie, kładąc na słowach „pani Konradowa“ szczególny nacisk.

– Prawdopodobnie – brzmiała spokojna odpowiedź – jeżeli nie zdecyduje się na wyjazd do dóbr swojej przyjaciółki, z domu panny Żurakowskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)